

Bartłomiej Kozłowski

O „jury nullification” – czyli o tym, jak to ława przysięgłych może uniewinnić winnego – i dlaczego bywa to słuszne

Artykuł opublikowany pierwotnie (pod innym tytułem) w ramach działu [Kartka z kalendarza](#) na portalu [Polska.pl](#).

Cesarz rzymski Marek Aureliusz miał podobno powiedzieć, że lepiej jest uniewinnić stu winnych, niż skazać jednego niewinnego. Ze stwierdzeniem tym – przynajmniej na poziomie czysto abstrakcyjnym – wszyscy się chyba zgadzamy: domniemanie niewinności i rozstrzyganie nie dających się wyjaśnić wątpliwości na korzyść oskarżonego należą do kanonów procedury karnej we wszystkich cywilizowanych krajach.

Z przytoczonego zdania Marka Aureliusza wynika, że uniewinnienie osoby faktycznie winnej popełnienia przestępstwa może być słuszne – zapewne dlatego, że zbyt łatwe skazywanie winnych (dzięki np. zmniejszeniu ciężaru dowodowego ciężącego na prokuraturze) prowadziłyby również do skazywania przynajmniej niektórych niewinnych. Zaś ludzi niewinnych skazywać przecież (chyba) nikt nie chce.

Czy może jednak – przynajmniej niekiedy – być rzeczą słuszną uniewinnienie kogoś, kto ewidentnie - ponad wszelką wątpliwość - jest winny popełnienia przestępstwa? Na pierwszy rzut oka myśl o czymś takim wydaje się absurdalna: uniewinnienie kogoś, komu ponad wszelką rozsądną wątpliwość udowodniono, że popełnił przestępstwo, jest – można sądzić – równie niesprawiedliwe, jak skazanie kogoś, odnośnie którego istnieje wątpliwość, czy faktycznie jest on winien złamania prawa.

Zastanowiwszy się jednak w sposób nieco głębszy nad zadanym wcześniej pytaniem możemy dojść do wniosku, że myśl o tym, iż warto czasem uniewinnić (czy *de facto* uniewinnić – tj. zwolnić od jakichkolwiek konsekwencji prawnych) kogoś, kto ponad wszelką wątpliwość dokonał czynu uznawanego przez prawo za przestępstwo (czy – dajmy na to – wykroczenie) wcale nie musi być absurdalna. Twierdzenie, że coś takiego jest zwykłą niedorzecznością da się obronić tylko wówczas, jeśli utożsamiamy prawo ze sprawiedliwością i zakładamy, że sędziowie powinni być niewolnikami ustaw, bezwzględnie stosującymi obowiązujące przepisy.

W Polsce – jak i w ogóle w krajach, których system prawny wywodzi się z tradycji prawa rzymskiego – raczej trudno jest wyobrazić sobie, by sąd uniewinnił kogoś, o kim uznał, że zrobił on to, co zarzucała mu prokuratura (przy założeniu oczywiście, że zarzucony czyn sam w sobie był karalny i nie zachodziła żadna z okoliczności wyłączających odpowiedzialność karną - np. obrona konieczna, niepoczytalność, czy błąd co do okoliczności czynu). Chociaż... istnieje pewna furtka prowadząca do stosowania w praktyce takiego rozwiązania w postaci art. 1 §2 kodeksu karnego, który mówi, że „*Nie stanowi przestępstwa czyn zabroniony, którego szkodliwość jest znikoma*”. Ale już za Oceanem Atlantyckim coś dokładnie takiego miewa miejsce – i to podobno wcale nie wyjątkowo.

To prawda? Tym gorsze oszczerstwo!

Może najsłynniejsza tego typu historia zdarzyła się w sprawie Johna Petera Zengera (1697 – 1746), nowojorskiego dziennikarza, redaktora i wydawcy, który drukował pierwszą amerykańską gazetę partyjną "The New York Weekly Journal", na łamach której

publikowane były krytyczne teksty na temat gubernatora ówczesnej kolonii Nowy Jork Williama Cosby'ego. Za drukowanie tych tekstów Cosby oskarżył Zengera o „wywrotowe oszczerstwo” – „*seditionous libel*”. W tym miejscu trzeba powiedzieć, że w przypadku oskarżenia o takie przestępstwo kwestia tego, czy inkryminowane teksty stwierdzały prawdę, czy też zawierały kłamstwa, nie miała z punktu widzenia odpowiedzialności karnej oskarżonego żadnego znaczenia. Nawet więcej – obowiązująca w osiemnastowiecznej Wielkiej Brytanii i jej koloniach doktryna prawna stała na stanowisku, że „prawdziwe” oszczerstwa są jeszcze bardziej szkodliwe od kłamstw i tym bardziej należy za nie karać (zasadę tą i stojące za nią *ratio legis* ujmowała znana formuła: "*the greatest truth, the greatest libel*" – największa prawda jest największym oszczerstwem).

Uniewinniony mimo prawa

Zenger był więc – zdawało się – na straconej pozycji. To, co robił wydając krytykującą gubernatora Cosby'ego gazetę, według ówczesnego stanu prawnego było przestępstwem – pomimo, iż gazeta ta publikowała prawdę. W procesie o „wywrotowe oszczerstwo” ława przysięgłych była władna stwierdzić jedynie to, czy oskarżony faktycznie wypowiedział, lub opublikował przypisane mu słowa. A jednak mimo to, przysięgli – nawiasem mówiąc, starannie wyselekcjonowani przez Cosby'ego – pod wpływem mowy obrończej, jaką w sprawie Zengera wygłosił 80-letni adwokat z Filadelfii Andrew Hamilton – postanowili nie zważać na instrukcje sędziego, który poinformował ich, że fakt, iż inkryminowane artykuły stwierdzały prawdę, nie stanowi przesłanki wyłączającej odpowiedzialności karnej – i wydali w jego sprawie werdykt uniewinniający.

Co to jest *jury nullification*?

O sprawie Zengera wspomina się często w publikacjach na temat historii wolności słowa i prasy w kolonialnej Ameryce i następnie w Stanach Zjednoczonych. Ciekawszym jednak – w tym konkretnym przypadku – niż swoboda ekspresji problemem, jaki warto poruszyć przy okazji wspomnienia o tej sprawie, jest zjawisko prawne, zwane po angielsku *jury nullification* – co na polski należałoby chyba przetłumaczyć jako unieważnienie zarzutu przez ławę przysięgłych.

Jury nullification to po prostu taka sytuacja, w której ława przysięgłych uniewinnia osobę, którą tak naprawdę uznała winną dokonania czynu zarzuconego jej przez prokuraturę (lub oskarżyciela prywatnego). W sytuacji takiej ława przysięgłych w istocie rzeczy (choć oczywiście, tylko w konkretnej sprawie) znosi, unieważnia (*nullify*) mający zastosowanie w danej sprawie przepis prawny – z tego powodu, że uznaje go za niesprawiedliwy, niemoralny, lub niewłaściwie (np. wybiórczo) zastosowany wobec konkretnego oskarżonego.

Bez podstaw prawnych – ale nie wbrew prawu

Ta niezwykła – przynajmniej z naszego punktu widzenia - władza przysięgłych tak właściwie nie ma żadnych bezpośrednich podstaw w prawie stanowionym. Nie wynika ona ani z konstytucji USA (rzecz jasna, w okresie procesu Zengera żadnej konstytucji nie było), ani z jakichkolwiek ustaw, czy innych przepisów prawnych. Jest ona po prostu naturalnym wynikiem dwóch zasad, jakie nieodłącznie wiążą się z procesem przed amerykańskim sądem przysięgłych: po pierwsze – zasady, że przysięgli nie odpowiadają prawnie za swoją decyzję, a po drugie zasady, że wyrok uniewinniający jest wyrokiem ostatecznym, niemożliwym do zaskarżenia w sądzie wyższej instancji.

***Jury nullification* w praktyce**

W historii Stanów Zjednoczonych – i wcześniej kolonialnej Ameryki – przypadki *jury nullification* zdarzały się wielokrotnie. Na początku XIX w. miały one miejsce w sprawach o zniesławienie rządu. W późniejszym okresie ławy przysięgłych w stanach północnych uniewinniały ludzi oskarżonych o ukrywanie zbiegłych z południa niewolników – co według ówczesnego prawa było przestępstwem federalnym.

W latach 20 i 30 ubiegłego wieku – kiedy to w USA obowiązywała prohibicja alkoholowa – przysięgłym zdarzało się uniewinniać ludzi oskarżonych np. o sprzedaż alkoholu. W bliższych nam czasach przypadki *jury nullification* zdarzały się w sprawach lekarzy, którzy na wyraźne żądanie śmiertelnie chorego i cierpiącego męczarnie (związane np. z nieuleczalną chorobą nowotworową) pacjenta wstrzyknęli mu truciznę (np. słynnego dr. [Jacka Kevorkiana](#)) - a także osób oskarżonych o np. posiadanie niewielkiej ilości narkotyków.

Zwolennicy prawa przysięgłych do ignorowania obowiązujących przepisów prawnych twierdzą, że zjawisko *jury nullification* ma miejsce w 3 – 4 % wszystkich procesów z udziałem ławy przysięgłych. Ich zdaniem, zarówno ten fenomen, jak również obserwowany wzrost liczby spraw, w których ława przysięgłych nie była w stanie wydać jednomyślnego werdyktu świadczą o tym, że amerykańscy przysięgli coraz częściej nie poprzestają na orzekaniu w kwestii tego, czy oskarżony faktycznie zrobił to, co zarzucił mu prokurator, ale zaczynają rozważać kwestie konstytucyjności i słuszności praw jako takich.

Prawo ≠ sprawiedliwość

We wszystkich wspomnianych powyżej przypadkach ławy przysięgłych postępowały wbrew obowiązującemu prawu, stwierdzającemu w sposób jasny, że pewne zachowania – czy to sprzedaż alkoholu, czy eutanazja czy wreszcie posiadanie narkotyków stanowią przestępstwo. Ale czy znaczy to, że postępowały one niesprawiedliwie? Rzecz jasna – na temat moralnej oceny konkretnych przypadków *jury nullification* można by zapewne spierać się w nieskończoność: ktoś, kto stanowczo uważa, że człowiek nie ma prawa dysponować własnym życiem najprawdopodobniej będzie uważał, że werdykt przysięgłych, którzy uniewinnili kogoś takiego, jak Jack Kevorkian był skandaliczny (nawiasem mówiąc Kevorkian – wielokrotnie sądzony i uniewinniany za eutanazję trafił w końcu na przysięgłych, którzy kierowali się po prostu literą obowiązującego prawa i został skazany na 25 lat więzienia). Jednak generalne stwierdzenie, że uniewinnienie kogoś faktycznie winnego popełnienia przestępstwa (i w odniesieniu do kogo tak naprawdę nie ma wątpliwości, że popełnił on przestępstwo) musi być niesłuszne możliwe jest tylko przy przyjęciu założenia, którego istotę skrótkowo określa znana łacińska sentencja *dura lex, sed lex* (choć prawdę powiedziawszy, lepiej by tu chyba było mówić o zasadzie „*bzdura lex, sed lex*”). Przy takim założeniu jedyną dopuszczalną rolą przysięgłych jest rozważenie tego, czy oskarżony jest winien złamania obowiązującego prawa – zaś jedynym sposobem naprawy tego prawa może być jego zmiana lub zniesienie przez władzę ustawodawczą – albo (choć to z zasadą (*bz*)*dura lex sed lex* już się cokolwiek kłóci) stwierdzenie jego niekonstytucyjności przez sąd (to jednak należy do kompetencji sędziego zawodowego – i w odróżnieniu od werdyktu uniewinniającego może być zaskarżone do sądu wyższej instancji).

Ciemna strona fenomenu

Ale *jury nullification* ma też – trzeba to również powiedzieć – swoją ciemniejszą stronę. Z historii USA znane są sprawy, w których złożone wyłącznie z białych ławy przysięgłych – kierując się bynajmniej nie żadnym przekonaniem o niemoralności, niesprawiedliwości czy nadmiernej surowości obowiązującego prawa, lecz po prostu uprzedzeniami rasowymi – uniewinniały np. aktywistów Ku Klux Klanu niewątpliwie winnych morderstw na Murzynach

lub działaczach ruchu na rzecz praw obywatelskich. Takie same ławy przysięgłych – nie zważając na dowody świadczące o braku winy – skazywały też Murzynów oskarżonych o przestępstwa tego rodzaju, co morderstwa i gwałty na białych kobietach.

Nie uświadomione prawo

Z takich m.in. względów fenomen *jury nullification* ma swoich zagorzałych przeciwników. Sędziowie zawodowi – aczkolwiek zmuszeni do respektowania faktycznego prawa ławy przysięgłych do uniewinnienia nawet kogoś, kto ponad wszelką wątpliwość był winien złamania obowiązującego prawa – najczęściej podchodzą do zjawiska *jury nullification* z dużą niechęcią. Większość sędziów instruuje przysięgłych, że muszą oni zastosować prawo w ten sposób, jak im zostało ono przedstawione – niezależnie od tego, czy prawo to podoba im się, czy też nie. Zdarzają się też przypadki karania (za „[obrazę sądu](#)”) adwokatów, którzy w mowie końcowej informują przysięgłych, że mogą uniewinnić oskarżonego – jeśli tak im dyktuje sumienie – nawet, gdyby ich zdaniem był on *de facto* winien dokonania zarzucanego mu czynu, niedawne orzeczenia sądów apelacyjnych wskazują też, że sędzia ma prawo w trakcie procesu – choć oczywiście przed ogłoszeniem werdyktu – usunąć z ławy przysięgłych kogoś, kto zdradza chęć uniewinnienia oskarżonego nawet w sytuacji, gdyby tak naprawdę uznał go winnym popełnienia przestępstwa. Wynika z tego dziwny paradoks: jakkolwiek przysięgli mogą i *de facto* mają prawo uniewinnić kogoś winnego popełnienia przestępstwa (po prostu dlatego, że za coś takiego im nic nie grozi) to o prawie tym często nic nie wiedzą – dlatego, że wbrew [Konstytucji](#) i innym prawom (a w każdym razie, bez prawnych podstaw) instruuje się ich, że muszą zastosować istniejące prawo – bez względu na to, co o nim myślą. Niektórzy Amerykanie dążą do zmiany takiego stanu rzeczy: istnieje np. [Stowarzyszenie na rzecz w pełni poinformowanej ławy przysięgłych](#), które prowadzi działalność edukacyjną, zmierzającą do uświadomienia potencjalnym przysięgłym (a w USA do zasiadania w ławie przysięgłych w konkretnej sprawie sądowej może być wezwany właściwie każdy – z wyjątkiem takich ludzi, jak sędziowie, prokuratorzy – i w ogóle ludzie związani zawodowo lub rodzinnie z policją albo wymiarem sprawiedliwości - a także przestępcy) że mają oni prawo nie tylko do tego, by orzekać o winie oskarżonego w wąskim sensie popełnienia przez niego zarzucanego mu czynu, ale także do tego, by badać konstytucyjność – i po prostu sprawiedliwość – samego prawa lub jego zastosowania w konkretnym, rozpatrywanym przez nich, przypadku.

Znikoma szkodliwość społeczna czynu – pojęcie do wyrzucenia?

Na koniec tego artykułu wróćmy na nasze polskie podwórko. W Polsce zjawisko określane mianem *jury nullification* - rzecz jasna – jest czymś niemożliwym: – w naszym systemie prawnym nie ma czegoś takiego jak jury – czyli ława przysięgłych.

Wspomniane zostało tu jednak, że w polskim [kodeksie karnym](#) istnieje przepis, według którego czyn, który generalnie rzecz biorąc ma wszelkie cechy przestępstwa, nie jest przestępstwem wówczas, gdy jego społeczna szkodliwość jest znikoma. Uniewinnienie oskarżonego w oparciu o pojęcie znikomej szkodliwości społecznej czynu jest oczywiście czymś raczej odległym od *jury nullification* – przede wszystkim dlatego, że w Polsce – w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych – wyroki uniewinniające mogą być zaskarżane do sądów wyższej instancji, zaś sędziowie i ławnicy ponoszą odpowiedzialność dyscyplinarną za obrazę obowiązujących przepisów – co oznacza, że teoretycznie przynajmniej rzecz biorąc mogą oni odpowiadać dyscyplinarnie za uniewinnienie kogoś w oparciu o wspomniany art. 1 §2 k.k. – jeśli zostałyby uznane, że zawarte w tym przepisie pojęcie znikomej szkodliwości czynu zostało w danym przypadku nadużyte (choć z drugiej strony, tego typu przypadek chyba nigdy nie miał miejsca). Przy wszelkich jednak różnicach, uniewinnienie oskarżonego

w oparciu o zasadę znikomej szkodliwości społecznej czynu daje często w praktyce taki sam efekt, jak amerykańskie *jury nullification*: ostatecznie rzecz biorąc – z jakiego powodu ławy przysięgłych nieraz uniewinniają ludzi, którym ponad wszelką rozsądną wątpliwość udowodniono, że np. mieli przy sobie jakąś minimalną ilość zakazanych narkotyków?

Przepis o znikomej szkodliwości społecznej czynu - jak dobrze wiadomo - jest bardzo niepopularny przez naszych rygorystów, którzy w wyniku wyborów parlamentarnych i prezydenckich w 2005 r. zdecydowanie objęli władzę. Wprawdzie w opracowanym pod auspicjami PiS-u tzw. obywatelskim projekcie kodeksu karnego z 2002 r. pojęcie znikomej szkodliwości czynu zostało w pewnej mierze zachowane – ale możliwość uniewinnienia oskarżonego w oparciu o taką przesłankę została ograniczona: według art. 1 §2 tego projektu przestępstwa nie stanowiłby taki czyn zabroniony, którego nie tylko szkodliwość społeczna, ale i wina sprawcy byłyby znikome. Coś takiego najprawdopodobniej wykluczyłoby w praktyce stosowanie pojęcia znikomej szkodliwości czynu do przestępstw popełnionych z winy umyślnej.

Zbrodnia też może być znikomo szkodliwa

Pożytek z istnienia w kodeksie karnym przepisu o znikomej szkodliwości społecznej czynu bywa jednak niekiedy widoczny jak na dłoni. Niedawnym tego przykładem było uniewinnienie przez warszawski Sąd Okręgowy – właśnie w oparciu o art. 1 §2 k.k. – niejakiego Huberta H. – bezdomnego, który na Dworcu Centralnym w Warszawie obelżywie wyrażał się o prezydencie RP Lechu Kaczyńskim – co jakby nie było – stanowiło przestępstwo określone w art. 135 §2 kodeksu karnego.

Nawet i czyn będący formalnie zbrodnią może być niekiedy znikomo (jeśli w ogóle) szkodliwy społecznie. Wyobraźmy sobie taki przykład: ktoś podrabia (nawet w sposób iście doskonały) polski lub obcy pieniądz – nie mając przy tym najmniejszego zamiaru wprowadzać tego pieniądza do obiegu, albo wtajemniczać kogokolwiek w umiejętność fałszowania pieniędzy. Czyn taki bez wątpienia wypełnia dyspozycję art. 310 §1 kodeksu karnego: „*Kto podrabia albo przerabia polski albo obcy pieniądz, inny środek płatniczy albo dokument uprawniający do otrzymania sumy pieniężnej albo zawierający obowiązek wypłaty kapitału, odsetek, udziału w zyskach albo stwierdzenie uczestnictwa w spółce lub z pieniędzy, innego środka płatniczego albo z takiego dokumentu usuwa oznakę umorzenia, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze 25 lat pozbawienia wolności*”. Przepis ten – literalnie rzecz biorąc - zabrania bowiem podrabiania i przerabiania pieniędzy (a także innych dokumentów) w sposób absolutny – bez względu na to, czy takie pieniądze lub dokumenty miałyby być do czegośkolwiek użyte (i nawet wówczas, gdyby sprawca takiego czynu zabezpieczył je przed użyciem). Ale czy taki czyn jest w ogóle szkodliwy społecznie?

Otóż właśnie. Jakkolwiek *czysto formalna* bezprawność takiego czynu nie budzi żadnych wątpiwości, to o jakiegokolwiek społecznej szkodliwości takiego czynu naprawdę trudno jest mówić. W każdym razie: ktoś, kto chciałby argumentować, że taki czyn powinien podlegać karze musiałby odwołać się albo do rozumianej w skrajnie już prymitywny sposób zasady *dura lex, sed lex* – albo próbować dowodzić, że czyn taki może mieć jakieś pośrednie konsekwencje – np. że sprawca takiego czynu może w przyszłości dojść do wniosku, że skoro tak dobrze umie fałszować pieniądze, to dlaczego nie zacznie wprowadzać ich do obiegu – albo, że do mieszkania sprawcy takiego czynu ktoś się włamie, ukradnie sfalszowane pieniądze i puści je w obieg. Widać, jak bardzo prostacka – albo naciągana – musiałaby być taka argumentacja. Rzecz jasna: z tym uczciwym fałszerzem pieniędzy to trochę wydumany przykład (czy był w ogóle taki przypadek?). Niemniej jednak, przykład ten w sposób jasny pokazuje, że z przepisu o znikomej szkodliwości społecznej czynu nie warto rezygnować.

[Strona główna](#)